

RODZINA

PISMO POŚWIĘCONE WYCHOWANIU I NAUCE DOMOWEJ.

Numer 9.

Czwartek, dnia 26-go Kwietnia 1906.

Rok XXI.

ZUCH BABA.

Na skraju lasu stała chatka maleńka.

Podobniejsza ona była do skleconego na prędce szatasu, niż do porządnej chatupy.

Ściany były cienkie i nierówne, okienko jedno większe niż drugie, widać, że zastosowane do kupionych gdzieś przy rozbiorce domu starych ram. Dach słomiany miał szczyt jeden otwarty, niezaszalowany, z łatami sterzącymi nierówno, jakby czekały, aż chatce przybędzie jeszcze druga izba, a wtedy i im przysztukują kawałki do przedłużenia dachu.

Ale druga połowa chatki nie przychodziła, a szczytowa strona dachu pokazywała jakby przez otwarte wrota, co się działo na strychu.

Było tam trochę słomy kulowej, powiązanej w maleńkie snopki, jak do poszywania, była furczyzna potrawu, schowanego widać dla przyszłych cielec — było kilkanaście snopków słomy prosianej, także jako przysmak chowany dla krowy, a tymczasem służącej za przynętę dla wróblu, które całymi stadami furczały koło dachu, szukając nieświadomych ziarenek prosa.

Ale też prócz wróblu nic nie zakłócało ciszy przy chatce.

Naokoło otaczało ją pole ze sterzącymi tu i owdzie pieńkami po dawnym lesie, i zarosła, czekające jeszcze rąk pracowitych, uzbrojonych siekierą, motyką i lemieszem. Do chatki prowadziła wązka, nieubita drożyna, służąca widocznie tylko mieszkańcom jej do łączenia się ze światem i ludźmi. bo gościńca blisko nie było widać. Tylko opodal wzdłuż brzegu lasu stało kilkanaście tak samo ubogich i jakby tymczasowych, daleko jedna od drugiej porozrzucanych chatupek.

Był to dawniej dworski kawał lasu, wyrąbany i rozdany na czynsz dzierżawny włościanom.

Zaraśnięta drożyna i cisza wokoło świadczyły potrosze o tem, co się wewnątrz chatki działo. Mało życia i ruchu było wewnątrz, bo w chatce zjawił się gość straszny, wypłaszający wesołość, hałas i ruch. Zjawiła się śmiertelna choroba.

Na łóżku w rogu izby leżał chłop, lat średnich, ale wychudzony, głowę miał wysoko na poduszkach wzniesioną, oczy zapadłe, a twarz bladą.

Oddychał z trudnością i spoglądał wokoło niespokojnym wzrokiem, jakby wyszukiwał czegoś, coby mu ulgę przynieść mogło.

Przy łóżku w nogach stała jego żona, krzepka kobieta i rozmawiała z cicha z dwiema staremi gospodyniami, przybyłymi widocznie dla odwiedzenia chorego.

Troje dzieci, od lat ośmiu do dwunastu, walało się bezradnie po izbie, to spoglądając żałośnie na ojca, to szepecząc między sobą, że dziś nie było nawet obiadu.

— Jagna! — zawołał chrypliwie chory — a latałaś do Grzelów po jałowiec?

— Jużci, dopiero przecie przyszła. Do stałam trochę tych jagód. Mówili, żeby mocno ugotować i dawać pić jak herbatę. Czy ci teraz zagotować, tobym nanieciła ognia?

— Zagotuj. Mówią, że to pomocne.

— Et, kumie Grzegorzu! — odezwała się jedna z kobiet, Walentowa — dalibyście też spokój, próżno turbować kobietę. Wam już to nie pomoże. Lepiej o duszy myśleć, nie o lekowaniu. Wy zaraz umierać będziecie, przecie już wam oczy wciągnęło, i ziemia na twarz wystąpiła.

— Doprawdy? tak myślicie? A czemuż ja nie nie czuję? Tylko trochę oddychać tru-

duo. — rzekł chory obojętnie, jakby to nie o niego chodziło.

— Już ja, Bogu dzięki, nie dzisiaj — mówiła ta sama kobieta — tyle lat żyję i tylu umierających widziałam, to wiem. A zresztą niech i Kubiakowa powiedzą.

Druga baba kiwnęła głową.

— Co prawda, to prawda — rzekła. — Ja, przyznam się, tylko dzieci widziałam, jak umierały, a chłopca to nie, ale i mnie się widzi, że wam, Grzegorz, już bliżej, niż dalej.

— O Jezu najśłodszy! — jęknęła tymczasem Grzegorzowa, przykładając fartuch do oczu.

A dzieci, jakby czekały tego, zbiegły się i zaczęły chlipać, cisnąć pięściami oczy.

— Tu nie ma czego jęczeć! — ofuknęła Walentowa. — Chwała Bogu, po chrześcijańsku umiera, Sakramenta św. przyjął, z Bogiem się pojednał, przytomny jest, nie męczy się, to i czegoż żądać? Daj nam Boże wszystkim taką śmierć!

— To może mi dacie gromnicę, Walentowo — szepnął chory.

— Jeszcze czas. — Pobłogosławcie wpięrow żonę i dzieci, powiedzcie swoją wolę, a potem pomodlimy się, pókiście przy pamięci.

Grzegorz westchnął. Nie czuł tej bliskiej śmierci, bo nie go nie bolało. Nie miał żadnych widziadeł, o jakich słyszał, że miewają inni. Czyżby to już była śmierć tak blisko? Strach go zdjął przed sądem Bożym.

— Jaguś! — zawołał na żonę — Jaguś, odpuść mi, że niedobry byłem dla ciebie... Ale tyś jeszcze młoda, zechcą cię wydać, nie idź, pamiętaj, bo dzieci skrzywdzisz...

Oddychał głośno, oglądał się po izbie, na drzwi, i znów mówi:

— Dzieci, słuchajcie matki, jak ojca, bo z tamtego świata przyjdę, a ukarzę, jak będzie potrzeba. Jaguś, a na mszę świętą daj za moją grzeszną duszę i odpuść!...

Chciał podnieść rękę nad głowami dzieci, które, choć zapłakane, ze strachem i ciekawością patrzyły na twarz jego. Nie miał siły. Walentowa podniosła jego rękę i zrobiła nią znak krzyża w powietrzu.

Chorego zmęczył wysiłek. Pot wystąpił mu na czoło. Poruszał ustami, jakby mu temu brakło.

— Podnieś mi wyżej głowę — poprosił jeszcze.

Walentowa mruknęła znacząco na Kubiakową, która poszła po gromnicę, a sama podeszła pomódz Jagnie dźwignąć chorego w górę na poduszki. Pokręciła głową słysząc, jak mu zabulgotało w piersiach, kiedy go ruszyła.

Kubiakowa podała tymczasem zapaloną gromnicę i książkę nabożną. Wszyscy uklękli i zaczęli odmawiać litanie do Wszystkich Świętych.

Chory poruszał tylko ustami zamiast odpowiedzi, i coraz częściej przymykał oczy.

Walentowa odmawiała równo i głośno litanie.

— Wszyscy święci Męczennicy, módlcie się za nami! Święty Sylwestrze módl się za nami! Święty Grzegorzu, módl się za nami!

— Jaguś! podnieś — wyszeptał, bełkocąc chory, i oczy otworzył.

Zona poskoczyła, podłożyła ręce pod plecy, dźwignęła w górę, a z ust chorego połała się krew, i głowa zwisała bezwładnie w tył — martwa.

— Święty Ambroży, módl się za nami! — Święty Augustynie, módl za nami — odmawiała tymczasem Walentowa dalej.

A Jagna i dzieci zawodziły głośno, pochyliwszy głowy do nóg zmarłego.

* * *

Na trzeci dzień potem Grzegorzowa wracała z cmentarza parafialnego, oddawszy mężowi ostatnią posługę. Całą drogę towarzyszące jej sąsiadki radziły nad losem jej i dzieci.

Grzegorzowa szła milecząca, czemu się nikt nie dziwił, bo strapionej wdowie nie uchodziłoby nawet być bardzo mowną.

Ale Grzegorzowa mileżała nie gwoli przyzwoitości, tylko z ciężkiego frasunku. Rozmyślała, jak sobie dać rady z trojgiem dzieci i gospodarstwem bez żadnego zasobu i bez męskiej ręki?

Grzegorz wprowadził dawno niedomagał, od czasu jak się przy karczunku naderwał, ale przecie wykarczował kilka morgów. I choć dostatku wielkiego nie było, chleb jednak był w chałupie. Kiedy zboże nie urodziło, albo go było za mało, jak w pierwszym roku, gdy wzięli grunt z pod lasu od dziedzica, to Grzegorz z siekierą zarabiał i kupowali mąkę w miasteczku.

Ostatniego roku już mało miał siły. Pójdzie z pługiem, to w godzinę już zostawi konia, a sam przysiadzie na pieńku, bo od tego częstego podnoszenia pługa na piachach dech mu zaraz zapierało.

Ona przychodzi, bywało, i półzartem niby prowadzi pług raz, drugi, aż on odpocznie i znów ją odgania do chaty.

— A idźno, bo jeszcze kto obaczy, to śmiać się ludzie z ciebie będą! — mawiał.

Ale za chwilę znów to samo.

I tak na zimę to prawie że sama Grzegorzowa temi żartami zorała pole, bo on już byłby przed mrozami nie zdążył.

Ale co teraz będzie z gruntem? Jak mu da radę?

Sąsiadki tymczasem jedna po drugiej kładą jej w uszy:

— Moja Grzegorzowa, to nijak nie może być, abyście bez chłopca ostali w chałupie! Przecie to i orać i kosić, i zwozić, i dobytek obrządzić; jakże tu baba poradzi? Chyba, że odstąpicie swój grunt komu?

— Gdzie zaś! A coym bez gruntu zrobiła? Nie ustąpię. Tyle pracy miałabym komu oddać? Ojciec zdrowie na karczunku ostawił, a jabym dzieciom tego nie utrzymała? Tego nie będzie!

— To musicie brać chłopca, ani chyba. To nie babskiego rozumu taki kawał ziemi potrzebuje.

— Rozumu jak rozumu, ale rąk. A przecie chłopca nie wezmę. Słyszeliście, jak nieboszczyk przykazywał?

— Słyszeć, słyszałam, ale już też, niech go tam Bóg sądzi! Sam nie wiedział, co gadał. Niech mu Pan Bóg nie pamięta, ale przecie wiedzą ludzie, jako nienajlepszy dla was był, póki był zdrow. Toć po sprawiedliwości należałoby wam popróbować drugiego, możeby się lepszy trafił.

— Niechże mnie Bóg broni od tej próby! Czego umierający żąda, to święte, broniła się wdowa.

A łatwo jej to przychodziło, bo i do prawdy niemało biedy doznała od jednego męża i wcale jej nie pilno było do drugiego.

— A no, to prawda, ale parobka będziecie se musieli zgodzić, a to koszt.

— I koszt, i języki ludzkie! — dodała druga.

Tymczasem doszły do Grzegorzowej ścieżki. Że zaś wdowa poczęstowała sąsiadki już w miasteczku, więc teraz poszły one dalej, do swoich zagród, a ona sama weszła z dziećmi do chaty. Tu izba była uprzątnięta i wieczerza ugotowana, bo Walentowa zostawała na ten dzień na gospodarstwie.

— Bóg wam zapłać, Walentowo, za waszą łaskę. Bo czem ja wam odpłacę, biedna sierota?

— Dobrem słowem, dobrem słowem. A zresztą moja kolej niedługo. Siedmdziesiąt lat mam na plecach, to mnie one prędko do ziemi zaciągną. Jak przyjdzie do tego, to grudkę ziemi rzucicie na mnie.

Pierwszą noc Walentowa nocowała w zagrodzie wdowy. aby jej raźniej było, ale

nazajutrz wszystko wróciło do zwykłego porządku.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

O PRACY.

Większość ludzi pracuje dlatego, aby otrzymać zapłatę w brzęczącej monecie. Gdzie niema się czego spodziewać z tej strony, albo gdzie niema potrzeby dbać o zarobek, tam często ludzie unikają wszelkiej pracy, „boć nie miałyby to celu.“ Taki jest pogląd wielu ludzi. Mała tylko garstka pojmuje, iż we wszelkiej pracy tkwi także wyższa, moralna wartość, którą wprawdzie zwykle niezbyt wysoko cenimy, która jednak jest większa, niż zysk materialny.

Pracą wzmacniamy najpierw swe siły cielesne. Ciało nasze nabiera zdrowia i hartu, a to dla duszy ma wielkie znaczenie.

Już starożytni przyjęli za prawdę niezaprzeczoną, że tylko w zdrowem ciele mieszka zdrowa dusza. Głównie jednak przez każdą pracę, a także przez pracę cielesną wzmagają się siły naszej woli; dzieje się to zwłaszcza wtedy, gdy mamy dokonać dzieła, które jest połączone z wielu trudnościami. Tej zaś siły woli, zdobywanej przez pracę, potrzebujemy w życiu moralnem w wysokim stopniu i na każdym kroku, mianowicie wtedy, gdy trzeba wystąpić do walki przeciw złym ludziom i złym potęgom w własnem naszym sercu. A jak siły cielesne wzrastają przez pracę, tak samo siły moralne i umysłowe.

Postęp we wszystkich dziedzinach duchowych nie jest dziełem ludzi, zażywających wczasu, lecz ludzi czynnych i pracowitych. Praca, to kształcenie sił; próżniactwo, to ich zastój i upadek.

Miedzy ciałem a duszą panuje przedziwny stosunek. Chore ciało wywołuje łatwo zaburzenia w życiu duszy, i na odwrót, niedomagania duszy wpływają na ustrój cielesny. Ciągłą zaś pracą zachowamy zdrową duszę, a ta dusza wywierać będzie wpływ zbawienny na nasze ciało i zmysły.

Powstanie wtedy piękna harmonia między ciałem a duszą, a zarodki złych namiętności, w każdej chwili gotowe wybuchnąć z naszej zmysłowości, zawczasu będą przytłumione.

Słusznie ktoś powiedział, że nie zmysłów naszych nie trzyma tak dobrze w karbach obowiązku, jak znużenie ich przez pracę.

Nieustanna praca nie pozostawia nam czasu, abyśmy nawet mogli pomyśleć o tych występkach, do których próżniactwo daje powód.

Ale w pracy tkwi jeszcze wielka pociecha. Kiedy człowiek wyzbył się złudzeń i stracił wiarę w swe ideały, kiedy jest osamotniony na świecie, niechże wtedy szuka ucieczki w pracy.

Będzie mu ona przyjaciółką i w czarnej godzinie uśmierzy burzę w duszy jego. Czarne duchy zniechęcenia i nienawiści świata nie znajdą dla siebie miejsca w sercu tego, kto ma przed sobą jakąś pracę, jako poważny cel życia.

Każdemu nieszczęśliwemu można poradzić, żeby się zajął jakąś pracą, chociaż najmniejszą. Pociecha z niej wypływająca z pewnością choć w części ulży naszemu cierpieniu. Choćby życie nie miało celu, ma go jedna godzina obecna. A często głównie chodzi o to, żeby mieć pomocnika, któryby nam dopomógł przeżyć najbliższe godziny życia; zwykle bowiem tylko zły humor i chwilowy nastrój duszy wystawiają nam życie w świetle niekorzystnym. A zły humor często znika tak nagle, jak przyszedł, niby niepogoda kwietniowa, po której ma nastąpić wesoły blask słoneczny, ukazujący nam życie w różowym oświeceniu.

A jakiej to wartości nabiera nasza praca, kiedy ma na celu dobro ludzkości!

Nie wszyscy wprawdzie jesteśmy uposażeni w taką ogromną siłę pracy, jak wielkie umysły, przewodzące ludzkości, ale i drobna nasza praca jest dla ludzkości potrzebna.

»Kto garstką ziemię znosi, góry się doczeka;
Z kropli za kroplą z czasem uzbiera się rzeka.«
(K. Brodziński.)

Nie wielkość pracy ma przeważne znaczenie w ocenie jej wartości, lecz sumienne spełnianie obowiązku, w tem kółku, w którym nas postawił czy to los, czy własny wybór. Pięknie wyraża się poeta:

»Czyn każdy w swoim kółku, co każe duch Boży,
A całość sama się złoży.«
(K. Brodziński.)

W tem znaczeniu powiedzieć można, że i zwykła robotnica spełniająca wiernie swe obowiązki, dokonała wielkich rzeczy, choć jej działalność nie przekracza zakresu obowiązków matki i karmicielki rodziny.

A jak nędznym przeciwnie wydaje się wobec najniższego wyrobnika bogaty próżniak, dla którego życie stanowi tylko jeden wielki wypoczynek! Taki człowiek w gruncie rzeczy nie ma wcale moralnego prawa do życia, bo żyje z tego, co inni zdobyli, nie oddając bliźnim w zamian żadnej usługi. Takie pasażerzy społeczeństwa ludzkiego nie mogą też

nigdy spożywać słodkich owoców własnej pracy, a to stanowi ich karę.

Większość ludzi nie może tak pracować, żeby ich praca zależała jedynie od ich woli, gdyż muszą się krzątać, aby nie umrzeć z głodu. Tacy ludzie widzą w pracy najczęściej ciężkie brzemię, od którego chętnie chcieliby się uwolnić.

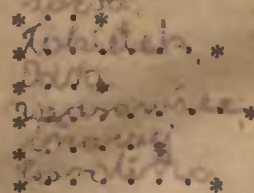
Ale człowiek powinien się otrząsnąć z błędnego mniemania, jakoby praca była kłopotą, ciążącą na ludzkości wskutek grzechu pierworodnego. Bóg włożył na człowieka pracę, nie jako karę, lecz jako pocieszycielkę na drodze żywota. Rozumna, świadoma swego celu praca wyróżniająca nas od zwierząt, jest także pewnego rodzaju ewangelią: zwiastuje nam, że początek nasz jest z Boga, że przeto powinniśmy rozwijać to, co w nas jest boskiego. Wszelka praca jest wypływem sił boskich, drzemających w nas, a przez ich rozwinięcie, zbliżamy się do bóstwa.

I praca miałaby, jak niektórzy mniemają, być dla człowieka hańbą?! Nie, jest ona raczej zaszczytem i ozdobą człowieka, z której każdy, kto ją posiada, może być dumny. Praca jest pogodną i swobodną córą życia, stanowiącą znaczną część naszego szczęścia życiowego; a psalmista słusznie powiada: „A jeśli życie nasze było słodkie, był to trud i praca.“

Pozbądźmy się więc nierozsądnego mniemania jakoby praca zatruwała nasze życie, i zabierajmy się do obowiązków życia powszedniego z prawdziwym zamiłowaniem pracy. Upatrujmy w każdym nadchodzącym tygodniu, w każdym nowym dniu, wraz z ich pracą codzienną, drogocenny dar Boży, którego przeznaczeniem jest ośładzanie nam życia. Ten tylko ma troskę życia, kto nienawidzi pracę.

LAMIGŁOWKA SYLABOWA.

Z poniższych sylab ułożyć sześć wyrazów tak, aby początkowo litery, czytane z góry na dół, utworzyły nazwę ptaka, końcowe zaś, czytane z góry na dół, nazwę drzewa.



O, li, wę, só, ro, na, kie, ka, wa, dra, na,
wiec, i, czej, dro, ło, tek.

Znaczenie wyrazów: 1) Ptak. 2) Król Polski.
3) Rzeka w Niemczech. 4) Podróżnik. 5) W inny sposób.
6) Imię żeńskie.